

ANALIZY

ZDZISŁAW M. RURARZ

EPITAFIUM LECHA WAŁĘSY

(2)

Druga połowa 1989 r., poza okresem wspomnianym już w poprzednim odcinku artykułu, należy do dość zagadkowych w karierze Lecha Wałęsy.

Zakładając, że wszystko działo się bez udziału "niewidzialnej ręki", tym bardziej sprawa ta zasługuje na uwagę.

Tak na przykład, już 13 października 1989 r. dało się zauważyć pierwszy poważny rozdźwięk na linii Lech Wałęsa z jednej strony, a premier Tadeusz Mazowiecki i przewodniczący OKP Bronisław Geremek z drugiej strony. Był to zły omen dla przemian w Polsce, którym przecież patronowała "Solidarność" z Lechem Wałęsą na czele. Patronat ten, nigdy serio nie rozważany w tonie "Solidarności", czy to w czasie obrad "okrągłego stołu", czy nawet dni sierpniowych 1989 r., był już sam w sobie sprawą zagadkową. Do tego czasu bowiem, "konstruktywna opozycja" wcale o wzięciu władzy nie mówiła, zadawał się w zupełności swoim roszczeniowym i tolerowanym przez władze statu-sem.

W każdym razie, Lech Wałęsa powiedział 13 października 1989 r., że "inne są interesy związku (czyli 'Solidarności'), a inny jest ich interes" (czyli Mazowieckiego i Geremka)....

daleka od takiego rodowodu. Podobnie było z powstałym w październiku tegoż roku ZChN, Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe. Wkrótce też, o czym wspomnę poniżej, sytuacja ta uległa dalszym komplikacjom.

Stąd też pomysł Komitetów Obywatelskich, które w dniach 9-10 grudnia 1989 r. spotkały się na konferencji, gdzie m.in. padła propozycja powołania partii politycznej o solidarnościowym profilu, był pomysłem słusznym i na czasie.

Niestety, Lech Wałęsa sprzeciwił się temu, mówiąc nawet, że "jeżeli będzie trzeba, to powoła się partię 'Solidarności', ale na razie potrzeby takiej nie ma...".

Niemniej jednak, Jarosław Kaczyński, osoba wtedy chyba najbliższa Lechowi Wałęsie, niemal natychmiast po powyższym wydarzeniu podjął próby stworzenia "solidarnościowej partii", ale dopiero 12 maja 1990 r. stało się to możliwe po powstaniu PC, Porozumienia Centrum (formalnie dopiero 1 marca 1991 r.).

W tym czasie jednakże, niestety, polska scena polityczna zaczęła się komplikować. W połowie lutego 1990 r. powstał bowiem KLD, Kongres Liberalno-Demokratyczny, z solidarnościowym rodowodem, a jeszcze

prezydenta Jaruzelskiego podwoiła się, przewyższając nawet popularność Wałęsy, a osobą najbardziej popularną, o dziwo, stał się premier Mazowiecki, osiągając 24 procent odpowiednio (nie wiązano go na ogół z kierowaniem gospodarką).

I oto w tej wysoce niekorzystnej dla Lecha Wałęsy sytuacji rozpoczął on "bieg do Belwederu"...

Zanim przejdę do tego biegu, dokonam dygresji.

Otóż niemal od początku powstania solidarnościowego rządu Mazowieckiego, stosunki pomiędzy nim a Lechem Wałęsą oraz Krajową Komisją Wykonawczą "Solidarności" z siedzibą w Gdańsku były właściwie żadne. Doszło nawet do tego, że komunikowano się, co najwyżej, za pomocą dalekopisu i to nie zawsze. Pierwsze spotkanie rządu z KKW, w składzie której znalazł się także Lech Wałęsa, nastąpiło dopiero 15 lutego 1990 r., a więc prawie w pół roku od zostania przez Mazowieckiego premierem!

W czasie tego spotkania Lech Wałęsa "nawrzucał" rządowi, nazywając go nawet "mózgowcami", co natychmiast zostało zinterpretowane jako atak na inteligencję w "Solidarności", czego negatywne efekty już wkrótce się ujawniły.

w solidarnościowym przeciwieństwie. Nie walczone z prezydentem Jaruzelskim, "kontraktowym" Sejmem, czy niektórymi członkami rządu z b. PZPR, ale za to walczone zażarcie między sobą, grzebiąc do reszty szanse na autentyczne przemiany.

Odnosnie zaś samej idei prezydentury Lecha Wałęsy, w dodatku mającego być wybrany w głosowaniu powszechnym, to sprawie tej należy poświęcić oddzielną uwagę.

Otóż historycy polscy są na ogół zgodni w poglądzie, że jedną z naszych tragedii narodowych było rozpoczęcie w 1573 r. wolnych elekcji króla, faktycznie dożywotniego prezydenta. Pomysłodawcy, wojewoda sandomierski Piotr Zborowski i kanclerz Jan Zamojski, wymyślając rzecz nieznaną wtedy w świecie, mieli oczywiście swoje egoistyczne cele na myśli. Szlachta i magnateria, jedna dziesiąta narodu, wybierając króla-prezydenta, stawiały mu różne wygodne dla siebie warunki, ograniczając tym samym władzę centralną.

Jak wiadomo, już pierwszy taki wybór, Henryka Walezego, był fatalny. Następnie dwanaście podobnych elekcji też w sumie było nie lepsze.

Co gorsza, żeby jeszcze tylko szlachta

ten, nigdy serio nie rozważany w tonie "Solidarności", czy to w czasie obrad "okrągłego stołu", czy nawet dni sierpniowych 1989 r., był już sam w sobie sprawą zagadkową. Do tego czasu bowiem, "konstruktywna opozycja" wcale o wzięciu władzy nie mówiła, zadawała się w zupełności swoim roszczeniowym i tolerowanym przez władze statusem.

W każdym razie, Lech Wałęsa powiedział 13 października 1989 r., że "inne są interesy związku (czyli 'Solidarności'), a inny jest ich interes" (czyli Mazowieckiego i Geremka)....

Ciekawe też, że niemal całkowite odsunięcie się Lecha Wałęsy od spraw niezwiązanych, bynajmniej nie wpłynęło negatywnie na jego popularność w kraju. Według badań opinii publicznej była ona największa wśród Polaków, nie przekraczając jednakże 56 procent, czyli za mało jak na potencjalnego przywódcę narodu. Trzeba jednak zaznaczyć, że popularność premiera Mazowieckiego w tym czasie ledwie przekraczała 15 procent, a prezydenta Jaruzelskiego tylko 8,5 procent odpowiednio.

Teoretycznie więc, Lech Wałęsa miał w tym czasie jakąś historyczną szansę, głównie ze względu na pozostawanie poza strukturami władzy państwowej, uporządkowania polskiej sceny politycznej. Rządząca bowiem dotąd partia, PZPR, nie tylko zrezygnowała już z monopolu władzy, ale nawet zbierała się do zejścia ze sceny historycznej (w końcu stycznia 1990 r., uległa samorozwiązaniu się, a powstałe na jej miejscu SdRP i PUS wcale nie miały zamiaru, na razie przynajmniej, pchać się do władzy, nie mówiąc już o tym, że żywo tej ostatniej był krótki). W stanie wrzenia i kryzysu były też dwie zafiliowane dawniej z PZPR partie, tj. ZSL i SD, które były teraz z koalicji z "Solidarnością".

Tak czy inaczej, na polskiej scenie politycznej powstawała próżnia. Istniejąca od września 1979 r. KPN, Konfederacja Polski Niepodległej, mianująca się partią, nie miała zdecydowanie solidarnościowego rodowodu, choć wielu jej działaczy było w szeregach "Solidarności".

Również powstała w kwietniu 1989 r. mini-partia UPR, Unia Polityki Realnej, była

nie potrzebna takiej nie ma...".

Niemniej jednak, Jarosław Kaczyński, osoba wtedy chyba najbliższa Lechowi Wałęsie, niemal natychmiast po powyższym wydarzeniu podjął próby stworzenia "solidarnościowej partii", ale dopiero 12 maja 1990 r. stało się to możliwe po powstaniu PC, Porozumienia Centrum (formalnie dopiero 1 marca 1991 r.).

W tym czasie jednakże, niestety, polska scena polityczna zaczęła się komplikować. W połowie lutego 1990 r. powstał bowiem KLD, Kongres Liberalno-Demokratyczny, z solidarnościowym rodowodem, a jeszcze w listopadzie 1989 r., choć proces ten zakończył się w maju 1990 r., dość krętymi drogami, powstało PSL, Polskie Stronnictwo Ludowe, wkrótce już poważny konkurent "Solidarności" i wszystkich partii z jej rodowodem. Wkrótce też, o czym wspomnę w innym miejscu, polska scena polityczna uległa kolejnym komplikacjom, ale teraz godne uwagi jest co innego.

Chodzi mianowicie o "terapię szokową" Sachsa-Balcerowicza, którą zaaplikowano narodowi z początkiem 1990 r.

Operacja ta, zupełnie nie konsultowana z "Solidarnością" i Lechem Wałęsą, którzy jednak mieli jej patronować, nigdy też nie rozumiana przez solidarnościowego premiera, pospiesznie uchwalono przez "kontraktowy Sejm" i podpisana przez prezydenta Jaruzelskiego, była przystawionym trzęsieniem ziemi.

Nic, dosłownie nic, nie sprawdzilo się z jej pierwotnych założeń. Nie tylko gwałtownie spadła produkcja, ale nade wszystko płace realne, w I kwartale 1990 r. aż o ok. 32 procent. Na dużą skalę pojawiło się też szybko rosnące bezrobocie. Społeczeństwo zaczęło się rozwarstwiać, a kraj stał się "aferyw", gdyż na "terapii" zbijano tu i ówdzie fortuny.

W rezultacie tego, społeczeństwo, a nawet masy członkowskie "Solidarności", zaczęły wyrażać rosnące rozgoryczenie, co m.in. wyraziło się w gwałtownym spadku popularności Lecha Wałęsy, ze wspomnianych już 56 procent do ledwie 16 pod koniec kwietnia 1990 r. Tymczasem popularność

ci" z siedzibą w Gdańsku były właściwie żadne. Doszło nawet do tego, że komunikowano się, co najwyżej, za pomocą dalekopisu i to nie zawsze. Pierwsze spotkanie rządu z KKW, w składzie której znalazł się także Lech Wałęsa, nastąpiło dopiero 15 lutego 1990 r., a więc prawie w pół roku od zostania przez Mazowieckiego premierem!

W czasie tego spotkania Lech Wałęsa "nawrzucał" rządowi, nazywając go nawet "mózgowcami", co natychmiast zostało zinterpretowane jako atak na inteligencję w "Solidarności", czego negatywne efekty już wkrótce się ujawniły.

Ale zanim do tego doszło, na uwagę zasługują inne wydarzenia.

Już bowiem 16 stycznia 1990 r., siedzący dotąd względnie spokojnie Lech Wałęsa, wezwał raptem do przyspieszenia wyborów do władz lokalnych w kraju, zapoczątkowując tym samym erę różnych jego "przyspieszeniowych wezwań", które w końcu doprowadziły do słynnej "wojny na górze".

Co więcej, w dniu 9 lutego 1990 r., w redagowanym przez Jarosława Kaczyńskiego tygodniku "Solidarność", ukazał się artykuł Krzysztofa Czabańskiego, gdzie po raz pierwszy padła idea prezydentury Lecha Wałęsy. W dwa miesiące później, 10 kwietnia, Jarosław Kaczyński w wywiadzie dla "Życia Warszawy" też powtórzył wspomnianą propozycję, a Lech Wałęsa natychmiast wyraził na nią zgodę.

I wreszcie, 14 maja 1990 r., już w imieniu nowo powstałego PC, Jarosław Kaczyński, oficjalnie zgłosił kandydaturę Lecha Wałęsy na prezydenta, którą on akceptował.

Przypadkowo lub nie, Lech Wałęsa 13 maja 1990 r. ogłosił ponadto swoją słynną "wojnę wszystkich ze wszystkimi", która od 15 maja stała się już oficjalnie "wojną na górze". Przedtem jeszcze, na odbywającym się w dniach 19-24 kwietnia II Zjeździe "Solidarności", wyrzekł on też sakramentalne słowa, że "nie chcemy być prezydentem, ale będąc musieli...".

Co się tyczy "wojny na górze", w której Lech Wałęsa sięgnął nawet po siekiere, w przenośni oczywiście, to zasługuje ona na uwagę dlatego, że była to "wojna domowa"

prezydenta. Pomysłodawcy, wojewoda sandomierski Piotr Zborowski i kanclerz Jan Zamoycki, wymyślając rzecz nieznaną wtedy w świecie, mieli oczywiście swoje egoistyczne cele na myśli. Szlachta i magnateria, jedna dziesiąta narodu, wybierając króla-prezydenta, stawiały mu różne wygodne dla siebie warunki, ograniczając tym samym władzę centralną.

Jak wiadomo, już pierwszy taki wybór, Henryka Walezego, był fatalny. Następnie dwanaście podobnych elekcji też w sumie było nie lepsze.

Co gorsza, żeby jeszcze tylko szlachta i magnateria Rzeczypospolitej wybierała nam monarchów-prezydentów! Ale gdzie tam, wkrótce już polskimi elekcjami interesowały się obce mocarstwa, ościenne zwłaszcza, nasyłając na nie nawet swoich huzarów i kozaków dla ich "doglądania", nie mówiąc już o praktykowanym przekupstwie wyborców. Czym się to wszystko skończyło - wiemy aż nadto dobrze.

Po wiekach, rolę Zborowskich i Zamoyckich odegrali bracia Kaczyńscy, Jarosław zwłaszcza. Czy on sam wpadł na taki pomysł, czy podsunął mu go "ktoś" z ambasad sowieckiej, o których to spotkaniach w 1989 r. pisze on w książce "Druga strona medalu", tego już nie wiemy...

Ale na tym nie koniec. Wszędzie na świecie, gdzie prezydenci wybierani są powszechnie, czy nawet przez parlamenty, mają oni za sobą określone siły polityczne w postaci partii i ruchów masowych.

Lech Wałęsa miał co najwyżej za sobą "Solidarność", która była wtedy cieniem tej z lat 1980-1981, ledwie licząc jedną piątą jej dawnego stanu, a ponadto była to organizacja dość już skolowana "terapią szokową". Miał też poparcie PC, wcale zresztą nie najsilniejszej wtedy partii.

Co więcej, skoro już Lech Wałęsa, jako powszechnie wybierany prezydent, miał się zabrać za jakieś "przyspieszenia" i inne bliżej niejasne działania, to przecież nie bardzo umiał je skonkretyzować. Sam też nie wiedział i nikt mu tego nie powiedział, że wybierał się z przysłowiową motyką na słońce...

ANALIZY

Konkretnie mówiąc, pomijając już nawet jakieś zobowiązania "okrągłostołowe", o których po latach wspominał niejasno na spotkaniu w "Życiu Warszawy" 29 listopada 1995 r., jak też oplatające go "tajne pajęczyny", Lech Wałęsa powinien był wiedzieć, że na zabranie się do porządków w państwie polskim musiałby mieć dobrze rozstawioną kadrę co najmniej 50 tysięcy ludzi. Takich ludzi nie miał on ani w "Solidarności", ani w PC, które nigdy nie miało więcej niż 7 tysięcy członków, z których ponadto część na żadne poważne stanowiska nie nadawała się przecież.

Sam też Lech Wałęsa, nie mając do słownictwa żadnego przygotowania fachowego i doświadczenia życiowego w kierowaniu jakimikolwiek strukturami państwowymi, niekoniecznie już najwyższego szczebla, był po prostu wręcz niepoważną kandydaturą na urząd prezydencki.

A propos, w II Rzeczypospolitej, gdzie w końcu naprawdę było w kim wybierać, nigdy nie próbowano wyłaniać prezydenta w głosowaniu powszechnym ograniczając się tylko do forum Zgromadzenia Narodowego. Podobnie, z oczywistym zastrzeżeniem co do samej analogii, miały się sprawy w PRL do chwili obalenia urzędu prezydenckiego w 1952 r.

Ponadto, wskrzeszony w 1989 r. urząd prezydencki, zgodnie z obowiązującą wtedy Konstytucją PRL, aczkolwiek z poprawkami, oznaczał jeszcze wiele, gdyż ciągle istniała rządząca PZPR oraz "kontraktowy" Sejm, nie mówiąc już o innych sprawach.

W momencie jednak rozpoczynania "biegu do Belwederu" przez Lecha Wałęsę, sytuacja była już diametralnie inna. Nawet wybrany powszechnie jako prezydent, miałby małe uprawnienia konstytucyjne. Dopiero ewentualna zmiana Konstytucji, jak też wolne wybory do Zgromadzenia Narodowego,

kacza", a prawdopodobnie za jego też namową doszło do ważnego wydarzenia.

Otóż w dniu 11 czerwca 1990 r. w Krakowie, z inicjatywy powszechnie znanego Jerzego Turowicza, powstał Sojusz Obywatelski na Rzecz Demokracji, instytucja o wyraźnie antywałęsowskim i promazowieckim profilu, choć jednocześnie o solidarnościowym rodowodzie.

W ten sposób, trwający już od miesiący proces dezintegracji się obozu solidarnościowego, wkroczył w nowy etap, o wiele groźniejszy od wszystkich poprzednich.

Co więcej, głębokie podziały do których walcnie przyczynił się Zdzisław Najder, przewodniczący "Komitetu przy Lechu Wałęsie", zaczęły się również w łonie Komitetów Obywatelskich, które zaczęły brać stronę premiera Mazowieckiego (m.in. w rezultacie publicznego zbesztania przez Lecha Wałęsę Jerzego Turowicza).

A tymczasem b. "władza ludowa" usuwała się strategicznie i taktycznie na bok, pozostawiając pole do kontynuowania swojej wojny domowej solidarnościowemu obozowi... Dla podsycecia tej wojny z rządu odeszli 6 lipca 1990 r. generałowie Florian Siwicki i Czesław Kiszczak, ministrowie obrony narodowej i spraw wewnętrznych.

Wojna ta zaostrzyła się szczególnie w dniu 16 lipca 1990 r., kiedy to powstał ROAD, Ruch Obywatelski - Akcja Demokratyczna, partia o rodowodzie solidarnościowym co prawda, ale antywałęsowska i otwarcie nieprzyjazna wobec PC. Zbigniew Bujak, jej współzałożyciel, otwarcie też stanął contra Lechowi Wałęsie.

Jako ciekawostkę warto tylko dodać, że wystosowany z inicjatywy PC w dniu 28 lipca 1990 r. apel "stu podpisów" w Zgromadzeniu Narodowym, domagający się rezygnacji Jaruzelskiego z prezydentury, nie został podpisany przez postów i senatorów z ROAD...

zowiecki-Tymiński, obfitując w niewiarygodną demagogię, uprawianą zwłaszcza przez pierwszego i ostatniego z kandydatów. Obaj licytowali się kto po swoim zwycięstwie da więcej wyborcom (słynne wałęsowskie "100 milionów złotych" z tytułu prywatyzacji majątku państwowego...).

Ciekawe też, że badania opinii publicznej w owym czasie były, jak się okazało, bardzo mylące. Tak na przykład, na dzień 26 września 1990 r., ilość głosów oddanych na Mazowieckiego szacowano na 48 procent, a natomiast na Wałęsę tylko 37 procent. Wkrótce potem, w miarę nasilania się kampanii, w dniu 14 października ilość głosów oddanych na Mazowieckiego szacowano już tylko na 29 procent, a na Wałęsę ledwie 24 procent. Przewidywania te okazały się co prawda nieścisłe, ale nie świadczyły też dobrze o szansach obu kandydatów.

W tym miejscu warto dokonać kolejnej dygresji.

Otóż Lech Wałęsa, będąc w listopadzie 1989 r. w Londynie, otrzymał od Romana Harta z hollywoodzkiej wytwórni filmowej Warner Bros., tytułem zadatku na film biograficzny, milion dolarów. On sam, jak również władze, wtedy jeszcze PRL, podobnie jak bank w Gdańsku, gdzie pieniądze zdeponowano, sprawę utrzymały w tajemnicy.

W związku z tym powstaje pytanie - jak to wszystko rozumieć? Gdyby bowiem Lech Wałęsa przyznał się do otrzymania tej sumy, jak na ówczesne czasy w Polsce krociowej, czy też ujawniłoby to władze, to należy wątpić w jego wybór na prezydenta. Anna Walentynowicz, w liście otwartym do Lecha Wałęsy z 25 września 1995 r., zapytywała gdzie podział otrzymane przez niego 90 tysięcy dolarów, nie wiedząc nawet, że otrzymał jeszcze milion...

Czyżby zatem ktoś chciał, żeby Wałęsa wygrał wybory?

Tak czy inaczej, do omawianych wyborów, które miały się odbyć 25 listopada 1990 r., które ku za-

w marcu 1991 r., nie była ona w pełni niepodległą i demokratyczną... Coś takiego miało nastąpić dopiero po wolnych wyborach do Zgromadzenia Narodowego, wybory takie odbyły się 27 października 1991 r., a ich wyniki niczego właściwie nie rozwiązały z palących problemów stojących przed Polską. Frekwencja wyborcza była fatalna, wynosząc tylko 43 procent, a natomiast ilość partii, organizacji i innych ugrupowań, które weszły do Zgromadzenia, wyniosła aż 29, faktycznie czyniąc z niego przysłowiową wieżę Babel.

Nic też tak na dobrą sprawę nie poprawiło się na linii stosunków prezydent-parlament, prezydent-rząd, czy wreszcie rząd-parlament. Przeciwnie, istniejące już dawniej konflikty tylko pogłębiły się, do czego zresztą przyczynił się walcnie sam prezydent Wałęsa. Pomijając już jego wieczne spory ze swoimi najbliższymi współpracownikami, a nawet przyjaciółmi, jak choćby z Jarosławem Kaczyńskim, który początkowo był szefem kancelarii prezydenckiej, ministrem stanu i faktycznym wiceprezydentem, ale z urzędu został zdymisjonowany już po niecałym roku, Lech Wałęsa podjął inne i wysoce podejrzaną akcje.

Tak na przykład, we wspomnianych już wyborach do Zgromadzenia Narodowego bardzo dobrze wypadł SLD, Sojusz Lewicy Demokratycznej, powstały z 28 lewicowych partii i różnych organizacji w trakcie kampanii wyborczej, nad którym przewodnictwo objęła SdRP. SLD zdobył bowiem 12 procent głosów, zajmując drugie miejsce, po powstałej w maju 1991 r. UD, Unii Demokratycznej, która zdobyła tylko 12,3 procent. UD, partia faktycznie antywałęsowska, choć o solidarnościowym rodowodzie, "partia Mazowieckiego", do września 1993 r. była główną partią rządzącej koalicji, ale była daleka od ścisłej współpracy z Lechem Wałęsą jako prezydentem (UD powstała z połączenia się ROAD i FPD).

"Solidarność", dotąd opora Lecha Wałę-

prezydencki, zgodnie z obowiązującą wtedy Konstytucją PRL, aczkolwiek z poprawkami, oznaczał jeszcze wiele, gdyż ciągle istniała rządząca PZPR oraz "kontraktowy" Sejm, nie mówiąc już o innych sprawach.

W momencie jednak rozpoczęcia "biegu do Belwederu" przez Lecha Wałęsę, sytuacja była już diametralnie inna. Nawet wybrany powszechnie jako prezydent, miałby małe uprawnienia konstytucyjne. Dopiero ewentualna zmiana Konstytucji, jak też wolne wybory do Zgromadzenia Narodowego, które wprowadziłyby do niego siły prowałęsowskie, mogły coś zmienić. Ale droga do tego była jeszcze długa.

Co więcej, sytuacja w kraju, nawet jeszcze w 1989 r., co ujawniło się w czerwcowych wyborach, wcale nie była aż tak korzystna dla "Solidarności" i Lecha Wałęsy, jak to błędnie sądzono. Prawda, "Solidarność" wygrała prawie wszystko w czerwcowych wyborach co było do wygrania, ale wygrana, licząc oddane głosy na poszczególnych kandydatów, była często bardzo "cienka", nie mówiąc już o tym, że frekwencja wyborcza w I turze wyniosła tylko 62 procent, a w II nawet 25 procent. Było to ostrzeżenie, że jakakolwiek "rozprawa z PRL" wcale nie była prostym zadaniem, a podejmowanie się jej przez Lecha Wałęsę w momencie gwałtownego spadku jego popularności było w ogóle wielce ryzykowne.

Zresztą, trudno nawet mówić, że Lech Wałęsa takiej właśnie rozprawy poszukiwał. Jak dotąd bowiem, walczył raczej ze swymi wczorajszymi towarzyszami broni, a pomagali mu w tym, bardzo dyskretnie, Jaruzelski i S-ka...

Co gorsza, odbyte 27 maja 1990 r. wybory lokalne miały tylko 42-procentową frekwencję, a kandydaci Komitetów Obywatelskich ledwie osiągnęli w nich minimalną przewagę, co świadczyło o niezbyt silnych prosolidarnościowych nastrojach społeczeństwa i było groźnym memento dla wałęsowskiego "biegu do Belwederu".

Powracając jednak do rozkręcającej się kampanii wyborczej, premier Mazowiecki nie pozostał dłużny aluzjom Lecha Wałęsy i teraz on z kolei obdarzał go mianem "kry-

ROAD, Ruch Obywatelski - Akcja Demokratyczna, partia o rodowodzie solidarnościowym co prawda, ale antywałęsowska i otwarcie nieprzyjazna wobec PC. Zbigniew Bujak, jej współzałożyciel, otwarcie też stał contra Lechowi Wałęsie.

Jako ciekawostkę warto tylko dodać, że wystosowany z inicjatywy PC w dniu 28 lipca 1990 r. apel "stu podpisów" w Zgromadzeniu Narodowym, domagający się rezygnacji Jaruzelskiego z prezydentury, nie został podpisany przez posłów i senatorów z ROAD...

I wreszcie, 17 sierpnia 1990 r., Lech Wałęsa zaapelował o przyspieszenie wyborów do Zgromadzenia Narodowego i prezydenckich. Tym razem, ROAD już temu nie oponował, ale również w popieranie apelu Wałęsy nie zaangażował się.

W tej sytuacji Lech Wałęsa w dniu 17 września 1990 r. oficjalnie zgłosił swoją kandydaturę na urząd prezydencki, a już w dniu następnym, na słynnej "herbatce u Prymasa", Jaruzelski zgłosił swoją chęć ustąpienia z prezydentury. W osiem dni później Zgromadzenie Narodowe z kolei zdecydowało skrócić swoją kadencję.

Fakt, że tak szybko i bezboleśnie b. "władza ludowa" związała manatki - był dość podejrzany, ale nikt tego jakoś nie widział...

A tymczasem wojna domowa w obozie solidarnościowym rozkręcała się na dobre.

Już bowiem 5 października 1990 r. zgłosił z kolei swoją kandydaturę na prezydenta Tadeusz Mazowiecki, a do walki wyborczej pomiędzy obu solidarnościowymi adwersarzami włączył się dodatkowo Stanisław Tymiański, "człowiek znikąd", który w sposób niespodziewany zamieszał polską sceną polityczną (na prezydenta zgłosili też swoje kandydatury Leszek Moczulski z KPN, Włodzimierz Cimoszewicz z SdRP i Roman Bartoszczyk z PSL).

W każdym razie, obóz solidarnościowy dezintegrował się bez przerwy. W końcu czerwca 1990 r. powstało Forum Prawicy Demokratycznej, kolejna partia o solidarnościowym rodowodzie, jak też wkrótce potem o podobnym rodowodzie Partia Wolności.

Co się tyczy samej kampanii wyborczej, to rozegrała się ona w trójkącie Wałęsa-Ma-

zyska przyznał się do otrzymania tej sumy, jak na ówczesne czasy w Polsce krociowej, czy też ujawniłyby to władze, to należy wątpić w jego wybór na prezydenta. Anna Walentynowicz, w liście otwartym do Lecha Wałęsy z 25 września 1995 r., zapytywała gdzie podział otrzymane przez niego 90 tysięcy dolarów, nie wiedząc nawet, że otrzymał jeszcze milion...

Czyżby zatem ktoś chciał, żeby Wałęsa wygrał wybory?

Tak czy inaczej, do omawianych wyborów doszło 25 listopada 1990 r., które, ku zaskoczeniu wszystkich, okazały się być tylko ich pierwszą turą.

Lech Wałęsa zdobył bowiem 39,9 procent głosów, a więc nie uzyskał bezwzględnej większości, choć pokonał obu głównych konkurentów (Mazowiecki zdobył 18 procent głosów, podczas gdy Tymiański 23,1 procent). Niska też była frekwencja wyborcza, wynosząc 61 procent uprawnionych do głosowania.

Załamany klęską Tadeusz Mazowiecki złożył dymisję z urzędu premiera, przyczyniając się w ten sposób do pierwszej, ale przecież nie ostatniej klęski obozu solidarnościowego.

Do II tury wyborów, odbytej 9 grudnia 1990 r., włączył się już bardzo aktywnie Kościół, a jeszcze wcześniej sam papież, choć bardzo dyskretnie, wzywając do głosowania na Lecha Wałęsę, co istotnie dało mu nieco ponad 74 procent oddanych głosów, ale za to przy spadku frekwencji wyborczej, która wyniosła tym razem 53 procent.

Innymi słowy mówiąc, formalne zwycięstwo wyborcze Lecha Wałęsy było faktycznie jego klęską, gdyż uwzględniając ilość głosujących na niego i frekwencję wyborczą, tylko niecałe 40 procent dorosłych Polaków udzielało mu poparcia, stanowczo za mało jak na człowieka kreującego się na przywódcę narodu, mającego prowadzić go do jakichś wielkich, ale bliżej niejasnych przemian.

Niemniej jednak, Lech Wałęsa został powszechnie wybranym prezydentem III RP, już nie PRL co prawda, ale jak sam przecież opowiadał w czasie swojej wizyty w USA

partii i różnych organizacji w trakcie kampanii wyborczej, nad którym przewodnictwo objęła SdRP. SLD zdobył bowiem 12 procent głosów, zajmując drugie miejsce, po powstałej w maju 1991 r. UD, Unii Demokratycznej, która zdobyła tylko 12,3 procent. UD, partia faktycznie antywałęsowska, choć o solidarnościowym rodowodzie, "partia Mazowieckiego", do września 1993 r. była główną partią rządzącej koalicji, ale była daleka od ścisłej współpracy z Lechem Wałęsą jako prezydentem (UD powstała z połączenia się ROAD i FPD).

"Solidarność", dotąd opora Lecha Wałęsy, zdobyła zaledwie 5 procent głosów.

Co gorsza, wszystkie już wtedy partie w Zgromadzeniu, łącznie z dawniej prowałęsowskim PC, były teraz mniej lub więcej antywałęsowskie.

I wtedy to właśnie, 6 grudnia 1991 r., prezydent Wałęsa zdobył się na bardzo wieloznaczny i kontrowersyjny krok. Krótko mówiąc, spotkał się on z klubem poselskim SLD, któremu przewodził Aleksander Kwaśniewski, późniejszy jego pogromca. W czasie tego spotkania powiedział dosłownie: "Wcale was nie kocham, ale Polsce potrzebna jest lewa noga. Dzisiaj widzę niebezpieczeństwo z drugiej strony, dlatego będę was bronił..."

No cóż, nie trzeba było długo czekać na przysłowiową zemstę historii...

O tym co było dalej, choć w telegraficznym już tylko skrócie, gdyż litania "wyczynów" prezydenta Wałęsy jest długa, napiszę w ostatnim odcinku artykułu.

Teraz chciałbym dodać tylko jedną uwagę.

Prezydenturę Lecha Wałęsy, choć może ulegnie to wkrótce zmianie, zwłaszcza po jego słynnej już "bombie Oleksego", najbardziej pozytywnie ocenia właśnie... SLD, jak też jego tuba tygodnik "Polityka", odwiedzany ongiś przez b. prezydenta. Skoro już mówię o "Polityce", to jej komentatorka, Janina Paradowska, uważa nawet prezydenturę Lecha Wałęsy za wielce udaną, głównie w polityce zagranicznej Polski...

No cóż, jest to albo nieporozumienie, albo coś gorszego nawet, ale o tym za tydzień.